

N A D K S I A Ż K A M I

Stanisław Trzaska
O KARIERACH, SPOŁECZNYM AWANSIE I DEGRADACJI
str. 114

F A K T Y I K O M E N T A R Z E

Krystyna Konarska-Łostowa
TEATR „13 RZĘDÓW”
str. 117

K. S.
O PEŁNE UCZESTNICTWO W LITURGHII
str. 119

PROBLEMY — TENDENCJE — DYSKUSJE
str. 125

LISTY DO REDAKCJI
(J. Łazowski, Z. Szpakowski, L. Tyborowski)
str. 131

Zdjęcia w numerze: St. Arczyński, T. Drankowski, „Paris Match”

ROZMOWY WROCLAWSKIE

Dwudziestolecie Polski Ludowej zaczęte w Chełmie i Lublinie kończymy we Wrocławiu, Zielonej Górze i Szczecinie. Tak biegł szlak wyzwolenia. Tak biegła również droga kształtowania się nowego społeczeństwa i narodu w jego nowych granicach.

W bieżącym numerze zamieszczamy szereg materiałów związanych z Ziemią Zachodnią. Rozpoczynamy je rozmowami z uczonymi, artystami i działaczami Wrocławia. Poprosiliśmy o te rozmowy ludzi, których praca ma znaczenie nie tylko lokalne, lecz i ogólnopolskie, a nawet jak w niektórych przypadkach, światowe. Mówi to o dynamizmie ośrodków życia naukowego i kulturalnego, które zostały stworzone na Ziemiach Zachodnich. Rozmowy te ułożyliśmy, tworząc kompozycję, w której, naszym zdaniem, ciekawie przeplatają się problemy przemysłu, nauki i sztuki.

Redakcja

Stefan Ryłski



Inżynier-radiotechnik. Dyplom Politechniki Wrocławskiej w 1951 r. Następnie praca w radiofonii i radiofonizacji. W 1957 r. jeden z najczynniejszych organizatorów i działaczy Społecznego Komitetu Budowy Wrocławskiego Ośrodka Telewizyjnego, którego działalność uwieńczyło otwarcie w tym samym roku telestacji na szczycie Słęży, a w 1959 r. — Wrocławskich Zakładów Elektronicznych „Elwro”. Od 1963 roku dyrektor naczelny „Elwro”.

Dyrektor jest wysoki, szczupły i bardzo nie lubi, kiedy tytułuje się go dyrektorem. Mówi powoli, starannie wyważonymi zdaniem, wybijając precyzyjnie akcenty. Spokojny i opanowany, jest organizatorem znakomicie dającym sobie radę tak w działaniu społecznym, jak i w skomplikowanym mechanizmie wielkiego zakładu przemysłowego. „Elwro” jak przed paru laty telestacja na Słęży, jest jego dzieckiem.

— Dzieckiem Wrocławia — poprawia mnie inżynier Ryłski z charakterystycznym dla siebie uśmiechem, który kryje perswazję nie tyle łatwą, co stanowczą. — I to dla kilku powodów. Fabryka powstała z inicjatywy społecznej środowiska wrocławskiego. Cała kadra kierow-

nicza — inżynierowie, matematycy, ekonomiści — są wychowankami wrocławskich uczelni. Średnia wieku załogi, o kilka lat poniżej trzydziestki, wskazuje na to, że swoje rozumne doznania przeżywała w znowu polskim Wrocławiu. I to dziecko Wrocławia dopracowało się w ciągu paru lat wyniku ogólnokrajowej miary, jakim było uruchomienie w ub. roku przemysłowej, seryjnej produkcji elektronicznych maszyn cyfrowych w oparciu o własne, oryginalne opracowania konstrukcyjne, w technice całkowicie tranzystorowej. W ciągu sześciu lat doszliśmy do załogi liczącej 3000 ludzi, roczna wartość produkcji przekracza pół miliarda złotych.

Miałem okazję obserwować inżyniera Ryłskiego w działaniu społecznym przed ośmiu, siedmiu, sześciu laty, kiedy przewodził zespołowi zapalców, którzy postanowili, wyprzedzając plany państwowe o kilka lat, dać Dolnemu Śląskowi dostęp do telewizji. 4 czerwca 1957 r. zawiązał się komitet, którego głównym *spiritus movens* stał się od początku inżynier Ryłski. W ciągu zaledwie sześciu miesięcy wybrano miejsce budowy telestacji, zapewniające maksymalny zasięg odbioru, sporządzono dokumentację budynku, uzyskano wszystkie niezbędne zezwolenia, materiały, zakontraktowano dostawę — z zagranicy! — aparatury odbiorczo-nadawczej. 4 grudnia tego samego roku, na Barburkę — tak jak przyrzeczono górnikom Wałbrzycha, którzy zrezygnowali ze swojej premii dewizowej na rzecz zakupu aparatury dla telestacji — budynek na szczycie 700-metrowej góry był gotów. Telestacja nie mogła jednak ruszyć, centrale importowe nie wytrzymały bowiem wrocławskiego tempa. Dopiero w dwa miesiące później, 1 lutego 1958 r. telestacja na Ślęży mogła przekazać pierwszy program. I zaraz potem — nowa inicjatywa: jest telestacja, ale na rynku brakuje telewizorów, zatem we Wrocławiu powinna powstać fabryka odbiorników. Inżynier Ryłski układa w tej sprawie memoriał do wicepremiera Jaroszewicza. Ale stawką są nie tylko telewizory:

— Opracowując koncepcję uruchomienia pierwszej na Dolnym Śląsku fabryki przemysłu elektronicznego, myślałem o stworzeniu we Wrocławiu ośrodka elektroniki. Po prostu: drugiego po Warszawie zgrupowania fabryk tej gałęzi przemysłu. Moi przyjaciele podzielili mój punkt widzenia, przedstawiciele władz wojewódzkich złożyli podpisy pod memoriałem, wzięli zań odpowiedzialność. Zdawali sobie sprawę, że przemysł elektroniczny jest w Polsce rozwinięty o wiele za mało w stosunku do aktualnych krajowych potrzeb. Niedawno IV Zjazd Partii potwierdził naszą ówczesną tezę, wyznaczając zadanie 2,5-krotnego powiększenia produkcji polskiej elektroniki w ciągu 5 lat, do roku 1970. Nasza inicjatywa zmierzała do wzięcia w żagle wiatru, który na widok kręgu już się zrywał, choć niewielu chciało to wtedy rzeczywiście dostrzegać. A mieliśmy we Wrocławiu już wówczas zespół obiektywnych warunków przesądających o jej realności: silne środowisko naukowe

w dziedzinie elektroniki i matematyki, rezerwy rąk do pracy — rąk kobiecych, bowiem elektronika to przemysł nadający się do zatrudnienia właśnie kobiet, następnie wytworzone w miejscowym przemyśle tradycje zbliżonych gałęzi, jak elektrotechnika i przemysł maszynowy, wreszcie — klimat społeczny sprzyjający inicjatywom, rosnące ambicje środowiska. Wyobrażaliśmy sobie, że przy odpowiednim określeniu charakteru zadań zakładu-macierzy uda się doprowadzić do tego, że w ślad za nim powstawać będą jego filie, stopniowo usamodzielniane, bądź też będzie on wchłaniał mniejsze fabryczki, modernizujące swój profil produkcji. Punktem wyjścia miała być produkcja telewizorów, ale już wtedy uważaliśmy ją tylko za haczyk, rzeczywistym celem była automatyka przemysłowa, elektroniczne maszyny cyfrowe. Naturalny bieg wydarzeń potwierdził te nasze przewidywania, jakkolwiek nie wszystkie jeszcze uplasował w czasie dokonywanym.

Przypominam sobie informacje wyczytane w karcie personalnej inżyniera Ryłskiego. Matura liceum typu klasycznego. Studia na Politechnice Wrocławskiej z elektrotechniki od 1945 r., specjalizacja w radiotechnice. Kilka lat dosyć bezbarwnej pracy w dziedzinie radiofonii przewodowej, tej najbardziej archaicznej. I potem nagle...

— Gdzieś tam, widać, śpiące we mnie ambicje obudził Październik 1956 r. Telewizja była wtedy tematem modnym, ale myślę, że nie była to moda zdrożna, choć sam po dziś dzień nie mam telewizora, zresztą nie przez przekorę. Na przykładzie Wrocławia widać, że nawet zaczynając od programu pozornie czysto konsumpcyjnego, od chęci zapewnienia ludziom rozrywki, dojść można wcale daleko w sensie wytworzenia nowych wartości społecznych, liczących się w bilansie nawet ogólnokrajowej gospodarki, postępu techniki itp. Ambicje bywają motorem działań tak właśnie wychodzących poza sprawy czysto osobiste. Kiedy założyliśmy nasz Komitet Telewizyjny, koledzy z biura odnosili się do mnie z nieukrywaniem sceptycyzmem. Nie wierzyli w możliwość dotrzymania terminów rzeczywiście dość krótkich, jak na nasze polskie doświadczenia. To działało jak ostroga. Musiałem dać z siebie — i moich kolegów z komitetu — wszystko, żeby słowa nie okazały się rzucone na wiatr. Nie okazały się. To zresztą zdarza się chyba bardzo często. Na tle szarych zajęć dnia codziennego, monotonii zawodowej, która nie angażuje wszystkich rejestrów umysłu i wyobraźni, człowiek zdobywa się na marzenia, w innych kategoriach. I wtedy znajduje te wiatry, które napinają żagle. Ktoś, kto czuł się przygnębiająco odosobowiony, niczym przystoiwowe małe kółko wielkiego mechanizmu, chce odzyskać swoją osobowość. Natrafia, co zrozumiałe, na sceptycyzm otoczenia, tych innych kółek, kolegów nawykłych do rutyny, to właśnie staje się bodźcem do działania, do maksymalnej koncentracji umysłu i woli. Jest więc bardzo ważne, żeby nie dopuszczać do odosobowiania jednostek, do mechanizacji umysłów. Trzeba — na odwrót —

pozwałać ludziom wyrastać w nurcie społecznie celowego działania. Zresztą nie idealizuję. Całkiem niedawno przyszedł do mnie dwaj młodzi inżynierowie, z naszego, że tak powiem, rodzinnego „Eluro” i coś się okazało. Od samego początku pracy, od kilku lat byli w swojej komórce tłamszeni, spychani w schematy rutyny. Porozumieliśmy się z nimi szybko, otworzyliśmy szeroko okna.

Zanotował: Ignacy Rutkiewicz

Hugon i Zofia Kowarzykowie



Prof. dr Hugon Kowarzyk — Kierownik Katedry Patologii Ogólnej i Doświadczalnej Akademii Medycznej we Wrocławiu, habilitował się w Uniwersytecie Jagiellońskim, jako ostatni przed wojną docent w 1939 r. Od 1945 r. we Wrocławiu. Naukowa nagroda państwowa w 1952 r. za prace nad krzepnięciem krwi, w 1964 — za prace nad wektokardiografią (wraz z żoną prof. Zofią Kowarzykową), członek korespondent PAN, członek Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Europejskiego Towarzystwa Hematologicznego i Nowojorskiej Akademii Nauk.

Prof. dr Zofia Kowarzykowa — studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, od marca 1946 r., po służbie wojskowej — we Wrocławiu, gdzie się habilitowała. W 1964 r. naukowa nagroda państwowa za prace nad wektokardiografią (wraz z mężem prof. H. Kowarzykiem), członek Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Światowego Towarzystwa Internistów i Kardiologów, Nowojorskiej Akademii Nauk.

Niełatwo jest umówić się na wywiad z prof. Hugonem Kowarzykiem i prof. Zofią Kowarzykową. Mnogość zajęć badawczych, dydaktycznych i organizacyjnych nie zostawia im zupełnie czasu. Po ustaleniu spotkania nie łatwo też ów wywiad przeprowadzić. Rozległość zainteresowań, specjalistyczny charakter osiągnięć, konieczność wyjaśniania pewnych, nawet elementarnych spraw reporterowi (a poprzez niego i czytelnikom) sprawiają, że ta rozmowa nie może być serią pytań i odpowiedzi. Z trzygodzinnej rozmowy najpierw z obojgiem pp. Kowarzykami, potem wyłącznie z prof. Zofią Kowarzykową i asystentami mogę tu tylko zdać relację, starając się możliwie mało zubożyć jej bogatą treść.

Zbliżające się dwudziestolecie polskiego Wrocławia nasuwa pierwszy

temat: jak to było w 1945 r., kiedy to w październiku ogłoszono pierwsze wpisy na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, tak bowiem wtedy nazywała się jedyna wyższa uczelnia, z której potem powstały: Uniwersytet, Politechnika, Akademia Medyczna i Wyższa Szkoła Rolnicza. Ruiny, wciąż trwające pożary, których nie miał kto gasić, liczna stosunkowo ludność niemiecka i bardzo nieliczna — polska. Budynki uczelni zdewastowane, ich ekwipunek zniszczony. Znanne z licznych opisów warunki pionierskie. Decyzję otwarcia Wydziału Lekarskiego podjęła Rada Wydziału w składzie: prof. Ludwik Hirszfelfd, prof. Hanna Hirszfefeldowa, prof. Tadeusz Baranowski i prof. Hugon Kowarzyk. Na wieść o ogłoszeniu przyjęć studenci zaczęli tańczyć na ul. Kocha (niefortunnie przemianowanej na ul. Chałubińskiego). W pierwszym okresie wykładów — powiada prof. Kowarzyk — studenci zostawiali w szatni karabiny, które po skończeniu wykładów odbierali i szli do służby w „milicji” broniącej przed maruderami i szabrownikami. Potem pierwsza inauguracja Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, 9.VI.1946, na której prof. Hugon Kowarzyk miał wykład „Życie jako zagadnienie elektrofizyczne”.

O tych dawnych czasach mówiliśmy sobie, żeby skontrastować je z dniem dzisiejszym, tak zdawałoby się zwyczajnym. Akademia Medyczna we Wrocławiu jest organizmem okrzeplonym, o dużym dorobku i pozycji — mówi prof. Kowarzyk. Osiągnięcia naukowe są wynikiem kilku czynników. Pierwszy z nich to ludzie, skupieni tu z różnych środowisk, którzy umieli organizować robotę. Na to, żeby coś zrobić trzeba najpierw robić. Powstały trzy ośrodki współpracujące ze sobą i to dało wyniki: Wydział Lekarski a następnie Akademia Medyczna, Instytut Ludwika Hirszfelda i Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, to ostatnie od początku stało się miejscem twórczych dyskusji naukowych.

W tych warunkach mogła rozwijać się praca badawcza. Moi rozmówcy ciepłowie i przystępnie objaśniają laikowi zakres swoich zainteresowań i osiągnięte wyniki. Trzy są te zakresy: zagadnienie krzepnięcia krwi, wektokardiografia i od 2 lat genetyka. Wyniki osiągnięte w dwóch pierwszych są już powszechnie znane. Genetyka (ludzka!), w której prof. Hugon Kowarzyk współpracuje ze sławnym matematykiem prof. Hugonem Steinhaussem. I tutaj już są wyniki o zasadniczym znaczeniu.

A więc krzepnięcie krwi. Do rozmowy włącza się p. mgr Barbara Czerwińska-Kossobudzka, która należała łącznie z p. dr Ewą Marciniak do zespołu, opracowującego przez wiele lat pod kierunkiem prof. Hugona Kowarzyka mechanizm trombinogenezy. Wynikiem tych prac to odkrycie podstawowego czynnika krzepnięcia: Autoprotrombiny C. Krew jest dialektyczna — mówi prof. Kowarzyk. Musi być płynna gdy krąży w naczyniach krwionośnych i musi krzepnąć, gdy grozi wylewem poza naczynia. Naruszenie tej prawidłowości może być dwojakie: krew pozostaje płynna, choć znajduje się poza właściwym naczyniem — skaza

krwotoczna i krew przestaje być płynna, choć znajduje się we właściwym naczyniu — zakrzep. Obydwie te nieprawidłowości mają olbrzymie znaczenie w lecznictwie, stąd konieczność pełnej znajomości mechanizmu krzepnięcia. Dalsze badania nad rolą odkrytej przez nas Autoprotrombiny C zmierzają do udoskonalenia terapii i skuteczniejszego wpływania na owe dwie nieprawidłowości — skazę krwotoczną i zakrzepu.

Dla pełniejszego, choć niepełnego wyjaśnienia mi tej sprawy p. Kowarzykowa i p. Czerwińska-Kossobudzka rysują mi schemat Morawitza, uzupełniają go dodatkowymi elementami, podają przykłady. Nie odważę się tu przedstawić tego własnymi słowami. Przekazuję jedynie moją konkluzję: w Katedrze Patologii pp. Kowarzykowie wraz ze swym zespołem skutecznie pracują nad własnym swoim odkryciem w sprawie bardzo ważnej dla ludzkiego zdrowia.

Prof. H. Kowarzyk musi nas opuścić. Pani profesor zaprasza do gabinetu dwóch młodych współpracowników: lek. Józef Jagielski, doktorant PAN od IV roku studiów medycznych pracuje w Katedrze Patologii Ogólnej i Doświadczalnej, lek. Paweł Paszkowski asystent również od IV r. studiów — w tejże Katedrze. Zaczynamy następny temat: wektorkardiografia. Na stole (wśród filiżanek kawy) zjawiają się dwie kategorie przedmiotów: foremne, uczynione z kolorowych drutów wielościanny, wewnątrz jednych znajdują się inne, wyróżniające się kolorem drutu: w dwunastościanie, którego ścianę stanowi pięciokąt siedzi dwudziestościan o ścianach, będących trójkątami równobocznymi, w ośmiościanie umiarowym znajduje się sześciąt. Oprócz tych „wyplatank” z drutu stoją aparaty o pękach przewodów wychodzących z mnogich gniazdek. Te drucianki to bryły platońskie, aparaty zaś to „diamentoidy”. Dotąd stosowano w diagnostyce elektrokardiografię płaską. Jest to liniowy albo dwuwymiarowy wykres prądów czynnościowych serca. Serce jest bryłą w przestrzennej klatce piersiowej, w której jest umieszczone różnie u różnych ludzi. Wektory pola elektrycznego wytwarzanego przez serce nie układają się w naturze na jednej płaszczyźnie lecz stanowią wiązkę przestrzenną. Sprowadzenie tej wiązki do płaskiego wykresu daje obraz daleki od „oryginału”. Pani profesor przybliży zrozumienie tej sprawy przez porównanie (nieściśle, jak mówi) do perspektywicznego rysunku trójwymiarowej bryły: rysunek ten daje pewne pojęcie o bryle, ale jej nie odtwarza. Rysunki tej samej bryły robione z różnej perspektywy i odległości są nieporównywalne, a wielkości nie dadzą się zmierzyć na podstawie takich rysunków. Państwo Kowarzykowie przez wiele lat poszukiwali drogi uniknięcia wad elektrokardiogramu wynikających ze sprowadzenia przestrzennego, trójwymiarowego zjawiska do płaskiego (dwuwymiarowego) wykresu.

Udało się im to przez powiązanie dwóch zdawałoby się krańcowo odmiennych zagadnień: badanie prądów czynnościowych serca i bryły platońskiej, to właśnie wielościanny umiarowe.

Jak do tego doszło i jakie z tego wynikły wnioski nie ośmielię się referować. Rezultatem prac wszczętych na tej podstawie było powstanie wektorkardiografii czyli elektrokardiografii przestrzennej, która przy pomocy układu trzech współrzędnych, a więc trzech wykresów liniowych pozwala odtworzyć wiązkę wektorów, pola elektrycznego wytwarzanego przez serce, dysponując zaś wyznaczonym przestrzennym układem punktów odniesienia daje porównywalne, mierzalne wielkości. Znaczenie tego w diagnostyce jest olbrzymie. W wyniku odkryć pp. Kowarzyków Wrocław stał się centrum wektorkardiografii. Pierwsze Międzynarodowe Sympozjum Wektorkardiografii odbyło się we Wrocławiu w 1959 r., po raz pierwszy spotkali się wtedy uczeni z 3 kontynentów pracujący w tej dziedzinie by się nawzajem poinformować o swoich pracach. Również drugie takie spotkanie odbyło się w rok po pierwszym we Wrocławiu. Inicjatywę wrocławską podchwyciły zagraniczne ośrodki: co roku odbywały się takie międzynarodowe sympozja wzorowane na wrocławskich. We wszystkich wrocławski ośrodek miał wiele do powiedzenia. Z Polski spoza Wrocławia uczestniczą w tych konferencjach zespoły prowadzone przez prof. prof. Askanasa, Gibińskiego, doc. Karolczaka, prof. Musiała, poza tym bierze udział zespół poznański. W tym roku sympozjum siódme już z kolei odbędzie się w Lipsku dla uczczenia stulecia tamtejszego Instytutu Fizjologii. Również w nim wezmą udział pp. Kowarzykowie i ich asystenci, ci ostatni nie po raz pierwszy przedstawiają tam swoje badania i osiągnięcia. Będą tam również jak i na poprzednich sympozjach światowej sławy badacze jak prof. P. Rijlant z Brukseli, prof. P. Duchosal z Genewy, akad. V. Laufberger z Pragi, prof. A. Jouve z Marsylii, ing. R. Koechlin z Paryża. *Zainicjowane we Wrocławiu przed siedmiu laty — mówi prof. Kowarzyk — spotkania wektorkardiologów stały się trwałą instytucją współistnienia i czegoś więcej niż współistnienia. Tu chodzi o wzajemne inspirowanie się i o przekazywanie sobie osiągnięć.* Jak podaje pani profesor, wektorkardiografy i oscylografy oparte o koncepcje uczonych zagranicznych są bardzo kosztowne. Te zaś, które powstały w wyniku owego zadziwiającego mariażu platońskiej geometrii z kardiografią można zainstalować nawet w niebogatym szpitalu. Aparat wykonany w Katedrze kosztuje ok. 2.000 zł. *Jeżeli ma być — jak mówi p. Jagielski — na wysoki potysk, trzeba by zapłacić 5—8 tys. zł.* Tak to we Wrocławiu powstała nowa, cenna broń w walce o zdrowie człowieka. Oryginalna zaś koncepcja uczonych wrocławskich postawiła wrocławski ośrodek naukowy w czołówce światowej w jeszcze jednej ważnej dziedzinie. Dodatkową radość sprawia to, że przy znakomitych uczonych formuje się grupa młodych, pełnych zapału i wytrwałości pracowników nauki, którzy (zachowując cały respekt wobec swoich zwierzchników) sprawiają na obserwatorze wrażenie zgranego i zaprzyjaźnionego kolektywu.

Rozmawiał: *Stefan Bakinowski*

Henryk Tomaszewski



Założyciel i dyrektor Teatru Pantomimy Wrocławskiej. Złoty Medal na Festiwalu Młodzieży w Moskwie 1957 za „Płaszcz” Gogola; nagroda krytyków za najlepszą choreografię i nagroda zespołowa za najlepszy spektakl choreograficzny Paryż, Teatr Narodów; złoty medal w Szwedzkiej Akademii Tańca.

Zanim odbyliśmy tę rozmowę, prosiłem Henryka Tomaszewskiego, aby zechciał potraktować ją jako osobiste wyznanie artysty, próbę samookreślenia. Sobie przypisałem rolę słuchacza, który będzie oszczędny w stawianiu pytań. Więc milczę. Mówi Henryk Tomaszewski:

Niezależnie od siły talentu — umiejętność jednej osoby ogranicza zakres jej działania. Moim pragnieniem było poszerzenie sztuki pantomimicznej, odejście od recitalu, solowego koncertu, stworzenie sztuki zespołowej, kolektywu mimów. Pragnę również odwołać się do wrażliwości widza. I to jest znacznie trudniejsze niżby się na pozór wydawało. Teatr mój, choć ma swoich stałych bywalców, wciąż musi walczyć o swojego odbiorcę, stworzyć z nim trwałą i dobrą więź. Pantomima nie ma u nas żywej tradycji. Cieszę się więc i z takich widzów, którzy wybierając się do nas, powiadają: „Chodźmy, tam będą pokazywali na migi”. Owszem, będą, bo chcą pobudzić wyobraźnię tego, który patrzy, chcą dać się wyżyć jego własnej fantazji. Oczywiście to musi być optyk, wzrokowiec... Ufam skwapliwości ludzkiego oka.

Oglądałem tylko jeden Pański spektakl. Dość dawno temu. Utkwiło mi w pamięci „Stworzenie kobiety”. Ale był tam również i „Woyzeck”. Co pana sprowokowało?

Krzywda. Pantomima żyje tym problemem nie od dziś, ale akurat jestem na to szczególnie uczulony. Chaplin też był. Świat, który otaczał tego trampa, nie zgadzał się z jego życiem — i tu się zaczął cały konflikt. Woyzeck doświadcza całkowitego poniżenia. Szuka ucieczki w snach, wyobrażeniach zemsty, chciałem to właśnie pokazać — nie anegdotę literacką, tylko to, co się rodzi w świadomości udręczonego człowieka... Nigdy nie należy oceniać pantomimy po literacku, szukać tego typu wartości, pantomima opowiadająca anegdotę jest po prostu gadatliwa i nużąca. Pokazaliśmy kiedyś „Płaszcz”. Krytyka zawołała — ale to nie ma nic wspólnego z Gogolem! Prawda. Ale po cóż ja miałbym ilustrować tak świetnego pisarza? W dziele literackim szukam elementów, które żyją w utworze — między słowami, w strefie wyobraźni, którą pisarz stworzył, żywej i bogatej dlatego właśnie, że nie dosłownej, niejednoznacznej i nie do końca określonej. Tu dopiero otwiera się świat znaczeń, wyobrażeń, snów, marzenia — gra fantazji, pantomima. Co więcej, nie ma w naszej sztuce prologów, epilogów, przedpowiadania; to, co widz ogląda — cały ów dramat — rodzi się na jego oczach od pierwszej chwili... A jeśli widz da się wciągnąć, zechce uczestniczyć, wówczas sam wzbogaca naszą sztukę swoją wrażliwością, zdolnością kojarzeń, swoją wyobraźnią, samym sobą. My stwarzamy podniecie, bodźce, mamy takie czy inne umiejętności warsztatowe, rzemiosło, ono nam pozwala tworzyć tę szczególną sztukę niemych gestów, które powinny wyrażać to, co jest poza słowem czy dźwiękiem, literaturą czy muzyką — w sferze wyobraźni.

Wspomniał Pan Chaplina. Czy nie wydaje się Panu, że pantomima, teatr, książka nawet, staje się w naszych czasach anachronizmem. Milionowa publiczność korzysta przede wszystkim z radia, filmu i telewizji. Widzi Pan możliwości artystyczne dla pantomimy np. w filmie?

Nie. Chaplin wydzwignął film niemy, on mu nadał rangę sztuki. Jest wielkim klasykiem pantomimy, niemego filmu. Pantomima ma sens w teatrze i wówczas nie tylko jako samodzielna sztuka, ale również jako współtworzywo spektaklu. Mim nie sprawdza się w filmie, nigdy nie istnieje na ekranie tak, jak potrafi istnieć w teatrze.

Co by mi Pan radził obejrzeć ze swojego nowego repertuaru? Wszystko.

Rozmawiał: J. Kt.

Kazimierz Urbanik

Rozmowa z matematykiem, którego specjalnością są par excellence abstrakcyjne działy matematyki, jest dla profana zadaniem piekielnie trudnym. Jak bowiem wyłożyć problematykę matematyczną niematematycznie?

matykom, zatem językiem niematematycznym? Tę mocno ambarasowną sytuację ujął kiedyś znakomity matematyk i niemniej świetny kpiarz, profesor Hugo Steinhaus, w formułę następującą: jak ma podać coś czytelnikowi, którego to nie obchodzi, ktoś, kto tego sam nie zna? Ale głos ma profesor Urbanik.

Matematyk. Kierownik Katedry Rachunku Prawdopodobieństwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Matura w 1948 r., następnie studia na Uniwersytecie Wrocławskim ukończone w 1952 r. Docent w 1957 r., profesor nadzwyczajny w 1960 r., profesor zwyczajny w 1964 r. Prorektor Uniwersytetu Wrocławskiego od 1961 r.



— Tym, co mnie pociągało w matematyce, jest jej struktura logiczna, dedukcyjna. Modele matematyczne opisują zjawiska zachodzące w świecie nas otaczającym, ścisły opis zjawisk pozwala przewidywać ich dalszy przebieg. Fizyka, chemia, technika bez matematyki nie potrafiłyby osiągnąć swego dzisiejszego rozwoju. W szkole średniej interesowałem się już matematyką, wstąpiłem na studia, nie zawiodłem się.

I nie zawiedli się na swoim wychowanku mistrzowie, którymi byli dla niego przede wszystkim Edward Marczewski i Hugo Steinhaus. Oni też, matematycy o głośnej reputacji, obaj członkowie Polskiej Akademii Nauk, powiadają, że to już właśnie Kazimierz Urbanik i niewiele odeń starszy Czesław Ryll-Nardzewski, obaj ledwie trzydziestokilkulatki, decydują o pozycji wrocławskiego środowiska matematycznego w kraju i w świecie. Koronną specjalnością profesora Urbanika jest rachunek prawdopodobieństwa, zwłaszcza teoria procesów stochastycznych, ujmująca ewolucję zjawisk przypadkowych w czasie. Wniósł do tego działu probabilistyki cały mowy rozdział. Ale jednocześnie, co nie

jest zjawiskiem najczęstszym, odznacza się niebywałą wprost wszechstronnością zainteresowań. Podczas studiów uczęszczał na bodaj wszystkie seminaria matematyczne, jakie tylko były wówczas prowadzone w środowisku wrocławskim. Dziś należy do światowej czołówki probabilistów, ale jest również bardzo wysoko ceniony dla swoich wyników w algebrze, analizie matematycznej, teorii informacji. Ogłosił 90 prac, co wystarczyłoby na dorobek całego życia sędziwego uczonego. Mówi się o nim, że jest jednym z najczęściej zapraszanych za granicę matematyków polskich.

— Miałem okazję przekonać się wszędzie za granicą, jak wielkim autorytetem cieszy się tam polska matematyka. Nazwiska naszych wielkich mistrzów: Wacława Sierpińskiego, Kazimierza Kuratowskiego, niezjącego już Stefana Banacha, Hugona Steinhausu są nazwiskami — symbolami. Ich prace są znane i cytowane przez najgłośniejszych autorów. Fakt, że matematyka polska na dobrą sprawę powstała dopiero po pierwszej wojnie światowej i że rozwinęła się tak szybko i tak, powiedzmy to, znakomicie, budzi powszechną sympatię i uznanie. Nawet więcej: np. Duńczycy niejako programowo wprowadzają stworzone w polskiej szkole matematycznej wzory i metody pracy, jak koncentrowanie się w pewnych wybranych działach matematyki, zespołowy styl pracy, szczególna troska, jaką otacza się młode pokolenie badaczy, itp. Gdyby użyć języka sprawozdań sportowych, matematyka polska zajmuje w świecie miejsca medalowe. Wielu świetnych matematyków zagranicznych wydrukowanie pracy w polskich periodykach, jak warszawskie „Fundamenta Mathematicae”, dawniej lwowskie, a dziś wrocławskie „Studia Mathematica” traktuje jako wyraźne wyróżnienie.

W tej sławie uczestniczy Wrocław, jeden z trzech, obok Warszawy i Krakowa, głównych ośrodków polskiej matematyki. Już przed piętnastu laty jeden z największych matematyków współczesnych, Andrzej Kolmogorow, luzył po raz pierwszy określenia-komplementu „wrocławska szkoła matematyczna”. Składają się na to pojęcie wybitne sukcesy badawcze, ale i pewien specyficzny klimat moralny i wychowawczy. Nawet więcej: klimat, który jest określoną metodą pracy. W dyskusji o feudałach i wasalach w nauce, jaka toczyła się przed paru laty na łamach „Polityki”, profesor Marczewski przedstawił pozytywny dekalog wrocławskiego środowiska matematycznego. „Zgrupowanie utalentowanych badaczy, warunki materialne, trafny dobór tematyki mają wielkie znaczenie, ale wszystkie mogą być zmarnowane, jeśli młodzi pracownicy nie znajdą właściwego klimatu i możliwości rozwoju” — tak brzmiała jego zasada wstępna i podstawowa. To znaczy: wczesne stawianie przysiężnych badaczy przed zagadnieniami nierozwiązanymi, wczesna publikacja ich prac, uznanie za cel nie zdobywanie stopni naukowych, lecz rozstrzyganie pewnych, nie zawsze zresztą od

początku sprecyzowanych zagadnień, zastąpienie relacji: uczeń mistrza relacją: uczeń szkoły. I dalej: ciągła współpraca, komunikowanie sobie zagadnień nierozstrzygniętych, dzielenie się pomysłami niegotowymi, współdziałanie w redagowaniu prac do druku, gdzie figurują tylko nazwiska rzeczywistych autorów i zawsze w porządku alfabetycznym. I jeszcze: żywe kontakty z innymi środowiskami, nie tylko zagranicznymi. Tu przypomina się zdanie profesora Marczewskiego ze szkicu o Waławie Sierpińskim, że jego sukces „jest sukcesem nie tylko naukowym: jest także sukcesem moralnym”. Kiedy w związku formułę chce się ująć to, co stanowi o istocie wrocławskiego środowiska czy, jeśli kto woli, wrocławskiej szkoły matematycznej, wystarczy te słowa przepisać.

— Wrocław oglądany z pewnej perspektywy ma powody do dumy zapracowane rzetelnie. Środowisko rozwinęło się rzeczywiście szybko, w czym ważny udział ma jego wewnętrzna spójność: dwa razy każdego tygodnia spotykają się matematycy z Uniwersytetu i Politechniki na wspólnych posiedzeniach i konwersatoriach. Wrocław przejął najlepsze tradycje polskiej matematyki przedwojennej, zwłaszcza lwowskiej i warszawskiej szkoły matematycznej. Wzbogacił je w sposób dość charakterystyczny rysem wszechstronności zainteresowań, zawsze akcentując bliską współpracę między różnymi działami matematyki. Dominantą są tu chyba działy nazywane abstrakcyjnymi, o których zresztą trudno powiedzieć, że są oderwane od rzeczywistości, jak to potocznie się sądzi. Zresztą powiązania między tą matematyczną abstrakcją a konkretem np. współczesnej techniki czy organizacji są bardzo ścisłe. Znane w analizie funkcjonalnej pojęcie przestrzeni nieskończonej wymiarowych wykorzystuje współczesna fizyka teoretyczna, logika matematyczna oddaje usługi technice budowy elektronicznych maszyn cyfrowych, teoria informacji znajduje zastosowania w ogóle wszechstronne, od biologii do humanistyki i oczywiście — techniki. Zastosowania matematyki, jej bezpośrednie zastosowania gospodarcze, przyrodnicze, techniczne, są zresztą właśnie jedną ze specjalności środowiska wrocławskiego, w czym ogromna zasługa profesora Steinhausa. Ta różnorodność zainteresowań matematyków pracujących we Wrocławiu przynosi dobre rezultaty. Ale warunkiem powodzenia jest ten klimat i styl pracy, który wnieśli tu nasi mistrzowie. Żywym przykładem jego owocności jest liczne i utalentowane młode i najmłodsze pokolenie. Stefan Paszkowski, Andrzej Hulanicki, Jan Mycielski, Andrzej Lelek, moi młodsi koledzy ze studiów na Uniwersytecie Wrocławskim, są dziś samodzielnymi pracownikami nauki. Ich nazwiska są już dobrze znane w najlepszych środowiskach zagranicznych. A to wszystko ludzie przed trzydziestką.

Zanotował: Ignacy Rutkiewicz

Józef Hałas i Jerzy Rosołowicz należą do tego pokolenia polskich malarzy, które kończyło studia w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Debiutowało w okresie Arsenau, obrazoburcze i zbuntowane, a obecnie dobiega wieku średniego i dochodzi do twórczej dojrzałości. Należą oni też do tych przedstawicieli pokolenia, którzy w ogólnej dewaluacji sposobów malowania nieprzedstawieniowego, powszechnego eklektyzmu i uroczego epigoństwa znaleźli własne drogi i kroczą nimi z dużą konsekwencją.

Józef Hałas



Ur. w 1927 r. Studiował w PWSSP we Wrocławiu w latach 1949–1954. Bierze udział w wystawach okręgowych i ogólnopolskich m. in.: Arsenau 1955 r., Sopot 1957, 1958, wystawa „Plastyki Ziemi Nadodrzańskich”, wystawy „Grupy X” i „Szkoły Wrocławskiej”, „Polskie Dzieło Plastyczne w XV-lecie PRL” Warszawa 1961, I i II Festiwal Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, gdzie otrzymał nagrodę, wystawa „Twórczość Plastyczna w XX-lecie PRL” Wrocław 1964. Wystawy indywidualne miał we Wrocławiu, Katowicach, Warszawie, Zakopanem. Uczestniczył w wystawach zagranicznych w NRD, Egipcie, Bułgarii, Rumunii, Czechosłowacji.

Przedwczoraj w Salonie BWA we Wrocławiu otwarto wystawę Pana obrazów. Jest to efekt wielu lat pracy. Malarstwo Pana nie narzuca się widzowi, dopiero po bliższym przyjrzeniu widzi on, jak wielkie bogactwo problemów plastycznych rozwiązuje pan w stale powtarzających się układach kompozycyjnych. Krytycy zajmą się tą wystawą szczegółowo, ja zaś chciałbym wykorzystać ją jako pretekst do porozmawiania o Pana malarstwie. Nie wątpię, że każdy autokomentarz jest dzisiaj ważny, bowiem wzrasta konieczność samoświadomości sztuki i malarzy. Komentarz może nie tyle pozwala zrozumieć wytwory (to w zasadzie sprawa wrażliwości), ile ich miejsce w świecie.

Zajmuję się dwoma tematami: wnętrzem i pejzażem. „Pejzaż z pianami”, „Pejzaż uskrzydłony”, „Pejzaż dla Ikara”, „Pejzaż muzyczny”, „Pejzaż z echem”, „Wnętrze muzyczne” — to niektóre tytuły moich prac. One już mogą coś wyjaśniać.